

OPIS WYDARZENIA:

Wstęp

Tata pojechał do Wrocławia w połowie maja 1945 r., gdy jeszcze nie wygasły pożary po oblężeniu miasta. Miał objąć kierownictwo zelektryfikowanego węzła jeleniogórskiego. Myśmy z Mamą siedzieli nadal w Warszawie.

Raptem Ojciec zjawia się w końcu lipca w domu na Czerwonego Krzyża. Przyleciał wojskowym „kukuruźnikiem” z interwencją w Ministerstwie Komunikacji, bo Ruscy zaczęli demontować i wywozić wszystko, co było związane z uruchomionymi już kolejami elektrycznymi na Dolnym Śląsku. Tata był przekonany, że to zwykle, sowieckie bezprawie. Zupełnie zdezorientowany minister Jan Rabanowski (znajomy ojca sprzed wojny) wyjaśnił po wielu staraniach, że władza ludowa zawarła „umowę” i odstąpiła Sowiecom nie tylko tę kolej. Zdruzgotany Tata wrócił do Wrocławia tym samym „kukuruźnikiem”. Odprowadzałem go wczesnym rankiem na lotnisko na polu Mokotowskim.

Jak się po latach dowiedziałem, prócz tej kolei Ruscy odebrali nam jeszcze ok. 180 obiektów przemysłowych położonych na Ziemiach Odzyskanych. Między innymi fabrykę włókien sztucznych w Cieplicach; demontaż tej fabryki obserwowałem w sierpniu osobiście.

. Pierwsze wakacje po wojnie

Gdy praca Taty w Jeleniej Górze okazała się nieaktualna, znalazł zatrudnienie w tworzącej się Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych we Wrocławiu.

W początku sierpnia wystarał się dla Mamy i dla mnie wyjazd na wakacje do Jeleniej Góry. Z Warszawy do Wrocławia dojechalśmy po 12 godzinach w wagonie bagażowym. Miasto przypominało stopniem zniszczenia Warszawę. Dalszą drogę odbyliśmy pociesznym i niestety słabiutkim pojazdem – trójkołową półciężarówką firmy DKW. Na pace jechało 5 osób z bagażami. Te głupie 140 km zajęło nam prawie cały dzień. Gdy było wzniesienie, musieliśmy zsiadać i iść na piechotę, a nawet czasami pchać. Widok Jeleniej Góry był dla mnie szokujący – we wszystkich domach były szyby! A do tego niektóre jakieś fasonowe, wypukłe. Wojna miasta wcale nie dotknęła.

Spędziliśmy tu prawie cały miesiąc. Mieszkałiśmy w willi niemieckiej tuż koło dworca kolejowego. Gospodarze jeszcze byli i mieszkali na piętrze. Przesiedlenie Niemców do Heimatu nastąpiło dużo później i stanowili wtedy jeszcze zdecydowaną większość w mieście. Byli obowiązani nosić białe opaski. To napiętnowanie sprawiało nam satysfakcję.



Powojenne wakacje w Jeleniej Górze; Mama i ja, sierpień 1945

Czas upływał mi bardzo ciekawie. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem potężne góry. W towarzystwie znajomego ojca obszedłem sporą część Karkonoszy. Schroniska były jeszcze w doskonałym stanie. Ani śladu wojny czy dewastacji. Miałem do dyspozycji niemieckie mapy turystyczne. Ciekawostką był proces zmiany nazw geograficznych. Np. niemieckie Schreiberhau otrzymało początkowo nazwę jakby dosłowną - Piszczewiec, a dopiero później Szklarska Poręba, zaś Krumhübel najpierw Krzywa Góra, a potem Karpacz.

Bliskość kolei i dworca pozwoliła mi na prowadzenie interesujących obserwacji: ciągły ruch pasażerów przyjeżdżających lub wracających. Transporty sowieckie pełne „trofejnego” mienia wiezionego z Niemiec. Raz jechał pociąg złożony z samych platform, a na nich bez żadnego zabezpieczenia maszyny do szycia. Towarzysze radzieccy wciąż handlowali przedmiotami kradzionymi z magazynów poniemieckich. Zapłatą była głównie wódka. Jeden z nich chciał za nowiutki motocykl DKW 350 litr wódki i aparat fotograficzny.

Dobre, wrocławskie czasy

We wrześniu 1945 r. powróciłem do III klasy Batorego w Warszawie. Jednak nie na długo, bowiem Tata dostał stałą pracę w DOKP Wrocław jako Naczelnik Służby Elektrotechnicznej. Późną jesienią zamieszkaliśmy na Biskupinie przy ul. Pankiewicza 19 w willi na parterze. W zasadzie umeblowany dom stał w ogrodzie pełnym kwiatów i drzewek owocowych. Po prostu raj. Nawiasem mówiąc, aby stać się właścicielami zastanego dobytku, należało sporządzić jego spis i wycenić, po czym zgłosić to do Urzędu Likwidacyjnego.

Pierwszy raz w życiu miałem własny pokój! Mama z pasją zajęła się ogrodem. Prócz kwiatów uprawiała też warzywa. Nie ma jak własne! Hodowała też kury. Zastanawiające, że w naszym mieszkaniu zastaliśmy obraz namalowany przez znanego polskiego malarza Adama Setkowicza. W dodatku w piwnicy znalazłem zeszyt podpisany Rosa Stirnisko, która uczyła się polskiego. Czyli mieszkali tu przed nami ludzie jakoś związani z Polską. Wtedy to nam nie przeszkadzało. To co nastąpiło po 1945 r., było pewnego rodzaju aktem sprawiedliwości dziejowej za doznane krzywdy.



Mama, ja i kury, Wrocław 1946

Brakowało nam jednak sporo wyposażenia domowego i odzieży. Mama chodziła na zakupy na tzw. szaber plac, późniejszy plac Grunwaldzki. Tam wszystko można było dostać. Wśród sprzedających przeważali Niemcy, ale i naszych handlarzy nie brakowało. Wyposażenie uzupełnialiśmy także plądrując okoliczne opuszczone domy. Przy tej okazji znalazłem dwie wiatrówki, angielski hełm wojskowy i karabin typu Mauser 98a. Przed powrotem do Warszawy w 1948 r. został fachowo zabezpieczony i wraz z amunicją zakopany pod drzewem, obok trzepaka. Tak, na wszelki wypadek. A nuż się przyda. Taka była wtedy atmosfera.

W pierwszych latach powojennych Polska była objęta pomocą UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration). Przychodziły i były rozdzielane wśród ludności paczki żywnościowe w dużych kartonach. Ze względu na różnorodność zawartości sądzę, że były to niewykorzystane zapasy z czasu wojny. W środku znajdowaliśmy kawę, herbatę, czekoladę, papierosy, gumę do żucia, konserwy mięsne, rybne itp. Poza tymi paczkami była także rozdzielana przychodząca odzież, obuwie, soki itp. W konsekwencji

te towary pojawiły się na bazarach. Mama kilka razy jeździła po ciuchy na targowisko w Oławie. Kupiła mi tam moją ukochaną kurteczkę w kratę, którą nosiłem jeszcze po powrocie do Warszawy.

Modne było w tym czasie noszenie wojskowych mundurów. Wracający z zachodu Europy przywozili mundury własne lub z demobilu i mnóstwo osób paradowało w mundurach angielskich lub amerykańskich. Sam nosiłem wojskowy granatowy battle dress, płaszcz i beret przysłany mi przez mego brata Józka z Anglii. Bo Józek się odnalazł w Anglii. Przeżył wojnę latając w bombowcach RAF, mimo że go Niemcy stracili w 1942 r. nad Belgią. Ożenił się z Angielką i postanowił pozostać w Wielkiej Brytanii. Nigdy nawet nie odwiedził Polski. Może to i dobrze, bo władza ludowa w latach pięćdziesiątych wielu polskich lotników z RAF wsadziła do więzienia po sfingowanych procesach. Nie wszyscy przeżyli.

Zaraz po przyjeździe do Wrocławia poszedłem do I-go gimnazjum przy ul. Poniatowskiego, a więc aż w śródmieściu. Jeździłem tramwajami z przesiadką. Był to dalszy ciąg klasy III gimnazjum. Jeszcze obowiązywał przedwojenny system oświaty tj. czteroletnie gimnazjum z małą maturą, po czym dwuletnie liceum z maturą dużą.



Na schodach tarasu, Wrocław 1947

Atmosfera szkoły była szczególna. Młodzież zjechała tu z całej Polski, choć dominowali uczniowie z kresów, a dokładniej ze Lwowa. Drugą znaczącą cechą było znaczne zróżnicowanie wiekowe. Niewiele było młodzieży takiej jak ja, co nie straciła przez wojnę ani roku w edukacji. Byli tacy, co siedzieli w niemieckich obozach albo spędzili trochę czasu na zachodzie Europy.

Szkołę prowadził dyrektor Jankowski – autochton. Mówił po polsku swobodnie, ale z nieco obcym, twardym akcentem. Trzymał żelazną, żeby nie powiedzieć niemiecką, ręką uczniów. Gdy któryś z uczniów czegoś nie wiedział, potrafił wkręcać klucze we włosy. Miałem z nim wiele do czynienia, ponieważ uczył angielskiego i to świetnie. Kazał całe duże fragmenty nowelek angielskich uczyć się na pamięć. Do dziś mogę wyrecytować początek „The Happy Prince” Oscara Wilde’a. Chemii uczył beznadziejny pedagog i pewnie dlatego tej dziedziny nigdy nie zrozumiałem. Zajęcia z polskiego prowadziła p. Przybyłko, dużej klasy przedwojenna starsza nauczycielka. Najlepiej zapamiętałem nauczycielkę z biologii, która przyszedłszy po raz pierwszy do rozbrykanej klasy opanowała ją swoim niezwykłym spokojem. Spotkałem ją potem przypadkiem w Warszawie w liceum im. Słowackiego. Prawiłem jej bezinteresowne i zasłużone komplementy. Najlepiej wspominam zajęcia WF. Prowadził je p. Damczyk. Miałem pewne talenty ruchowe i grałem niezłe w kosza na środku. Występowałem w reprezentacji szkoły mimo niewielkiego wzrostu. Także dobrze biegałem na krótkich dystansach i skakałem w dal.

Byłem raczej kłopotliwym uczniem. Lubiłem rozrabiać. Ciągłe trzymały się mnie głupie kawały. Dość powiedzieć, że kiedyś w ciągu dwu tygodni trzy razy usuwali mnie ze szkoły. Biedni moi rodzice. Ile musieli się najeść wstydu!

W kolejnym roku szkolnym 1946/47 ukończyłem IV klasę gimnazjum i uzyskałem małą maturę. Z tego okresu tylko pamiętam, że zaliczyłem polski warunkowo. Znałem „Lalkę” Prusa tylko z bryka i to bez trudu poznała polonistka. Wymogła na mnie, bym przeczytał tę powieść w ciągu tygodnia. Czytałem po całych dniach i nawet zaczęła mi się podobać.

W roku szkolnym 1947/48 uczęszczałem do I klasy liceum matematyczno-fizycznego. Miałem na tyle duże trudności z matematyką, że musiałem brać korepetycje. Ale jakoś szczęśliwie dobrnąłem do promocji do następnej klasy.

Z czasów szkolnych nasunęło mi się wspomnienie mojego „pierwszego balu”. W auli grała orkiestra Tadeusza Rosy, słynnego muzyka ówczesnego Wrocławia. Dotychczas zdarzało mi się jedynie z Mamą w domu zatańczyć i nie miałem śmiałości na sali poprosić kogoś do tańca. Dziewuchy ćwiczyły ze sobą i z reguły lepiej tańczyły - to mnie krępowało. Mój kolega Boguś Bińkowski był w podobnej sytuacji jak ja. Poszliśmy więc do przyległego kibla, gdzie było słyhać muzykę i tam puściliśmy się w treningowe tany. Po tym był mój pierwszy występ na parkiecie. Miałem poczucie rytmu, więc nie było trudności, choć fizyczna bliskość dziewczyny bardzo mnie peszyła.

W szkole miałem sporo fajnych kolegów. Była nawet taka paka, co się nazywała „Melina”. Pomysł nazwy pochodził ode mnie. W jej skład wchodził: Maciek Nagraba, Wojtek Sławiński, Wojtek Majewski, Rysiek Jordan, Tomek Prot i ja. Z racji bliskości zamieszkania i przynależności do ZHP przyjaźniłem jeszcze z Andrzejem Czyżewskim, bratem ciotecznym Marka Hłaski.



„Melina”: Tomek Prot, Rysiek Jordan, Funia Cichowlas, Wojtek Majewski, Wojtek Sławiński i ja

Przeżyłem w tamtych czasach tragedię, która zostawiła we mnie ślad. Poszedłem kąpać się z kolegą szkolnym Bogusiem Fołtą do pobliskiego kanału odrzańskiego na Biskupinie. Obaj pływaliliśmy bardzo słabo. W pewnym momencie trafiliśmy na wir koło ostrogi i zaczęliśmy walczyć o życie. Boguś objął mnie i zaczęliśmy obaj tonąć. Cudem wyrwałem się z tych objęć i jakoś dobrnąłem do brzegu. Potem bezradnie obserwowałem jak kolega znika pod wodą. Nie było w pobliżu nikogo, by pomóc. Straszne było potem powiadomienie rodziców o wypadku. Koszmary nocne dręczyły mnie przez dłuższy czas. Wkrótce po tym wypadku przełamałem się i poszedłem na kurs pływania.

Oczywiście należałem do harcerstwa. Prowadziłem zastęp w I WrDH. Przez pewien czas „służył” u mnie Marek Hłasko, który w swoim pamiętniku nawet dobrze mnie wspomina jako zastępowego. Ja zaś zapamiętałem go, jako chłopca bardzo trudnego, ale z fantazją. W końcu roku uzyskałem stopień ćwika. Uczestniczyłem w obozie wędrownym Kraków – Częstochowa i w Zlocie Młodzieży w Szczecinie 1946 r., w zimowisku w Matejkowicach tegoż roku, gdzie na Sylwestra upiłem się węgrzynem oraz w obozie wędrownym Gdynia – Elbląg.

Informacja odnośnie przesłanych fotografii

Fotki związane ze szkołą; I Gimnazjum i Liceum przy ul. Poniatowskiego

Późną jesienią 1945 trafiłem do III klasy wówczas jedynego wrocławskiego gimnazjum przy ul. Poniatowskiego. Chyba dopiero w 1947 powstało drugie gimnazjum przy ul. Parkowej. Szkołę prowadził dyrektor Jankowski, autochton, ale bardzo dobrze mówiący po polsku, choć z niemieckim akcentem.



IV klasa gimnazjum, 1947

Stoją od lewej: NN, Terlecki, Zbigniew Tyszko, Ryszard Jordan, NN, Rzeczkowski, Bogusław Fołta, Wojciech Żukowski, Andrzej Czyżewski, poniżej: Toper, Bogdan Binkowski, NN, NN

Gimnazjum ukończyłem w 1947 uzyskując tzw. małą maturę. Przechodziliśmy następnie do liceum, w moim przypadku, matematyczno-fizycznego. Obie szkoły mieściły się w tym samym budynku.



I klasa liceum, 1948

Od lewej: NN, Andrzej Czyżewski, Czesław Mikulski, Krystyna Tulejanka, Ryszard Jordan, Zbigniew Tyszko, Bogdan Binkowski, Wojciech Sławiński, NN, Terlecki, Krawczyński, Krystyna Kramarz

Fotki związane z harcerstwem

Przy gimnazjum powstała I Wrocławska Drużyna Harcerzy. Drużynowym był Antoni Lach zaś przybocznym - Zbigniew Pogoda. Ja prowadziłem zastęp. W jego skład wchodził m.in. Andrzej Czyżewski, Bogusław Binkowski a także Marek Hłasko, pomimo, że był dużo młodszy od nas (Andrzej Czyżewski - jego brat cioteczny uprosił, by go przyjąć ze względów na trudności wychowawcze w rodzinie).

Instruktorem komendy hufca opiekującym się drużyną był harcmistrz Emilski, Krakowianin. Drużyna uczestniczyła w obozie wędrownym w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej, w Złocie Młodzieży w Szczecinie w 1946, biwaku w Obornikach Śląskich oraz zimowisku w Matejkowicach.

Z jednym z druhow z drużyny spotkałem się po latach w niesympatycznych okolicznościach. Był oficerem UB i przesłuchiwał mnie w 1950 jako podejrzanego w sprawie politycznej w Pałacu Mostowskich w Warszawie



Mój wrocławski zastęp: stoją od lewej: NN, Andrzej Czyżewski, Zbigniew Tyszko, siedzą: NN, Marek Hłasko i Bogdan Binkowski, Wrocław 1946



I WrDH maszeruje ulicami Wrocławia, 1947



Na obozie w Matejkowicach 1947

CZWARTEK...

Jest teraz godzina 8.15 rano a mnie już zagnało do piwnicy. Wstaję z obozu harcerskiego wstaję z łóżka i idę na zapalenie ucha środkowego. Teraz leżę w łóżku, co należy do bardzo częstych przypadków. Oboz był w ciemności i wcale mi się nie udało. Coż to jest za oboz w parku? Oboz przypomina mi się w sobie zdaleka od ludzi i świat. Bo to wszystko to jest życie. Chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć na obozie ale na obozie zastępnym. Czy z 70 chłopcami można mieć coś poważnego? A w 6-7 to zawsze. Wzrostamy my mamy tak fajnego zastępnego z trudno chyba o lepsze. Mamy się zbiegniem Tygryso. Ma 15 lat i słony śmiech. To jest chyba ten zastęp w którym ja się dostałem. Zastępnym bardzo dobrym chłopakiem w tym czasie edmore na myśli jest. Jest już trzy lata w Harcerstwie. Umie bardzo dobrze poprowadzić szkie. Ma jego szkie to jest zastępko. Cieszenia z Marsie'm, chodzenie po smaku indyjskich, ma komica i wiele innych. Ma w taki m zastępnym na zastępnym chłopaki. O naszym zastępnym się dowiadujemy. Kiedyś wci bliżej zastępnym. Ja byłem w tym zastępnym "Biał". Zastępny Cherepinski Jerry. Oboz naszego obozu mam zamiar narysować ma zastępnym. No na razie koniec naszej historii.

DNIA
22
SIERPNIA
1946
ROKU

Rękopis pamiętnika Marka Hłasko wspominający wrocławskie harcerstwo

DNIA
22
SIERPNI
1946
ROKU

CZWARTEK ...

Jest teraz godzina 8.15 rano a mnie już zagnało do pisania. Wróciwszy z obozu harcerskiego rozchorowałem się na zapalenie ucha środkowego. Muszę teraz leżeć w łóżku, co należy do bardzo wątpliwej przyjemności. Obóz był w Obornikach i wcale mi się nie podobał. Cóż to jest za obóz w parku? Obóz powinien być w lesie zdaleka od ludzi i miast. Bo to wszystko to jest lipa. Chciałbym jeszcze kiedy pojechać na obóz ale na obóz zastępu. Czy z 70 chłopcami można urządzić coś porządnego? A w 6-7 to zawsze. Zresztą my mamy tak fajnego zastępowego że trudno chyba o lepszego. Nazywa się Zbigniew Tyszko.

Tu zgadzam się z moim ciotecznym bratem całkowicie. Zbyszek Tyszko był naprawdę znakomitym chłopakiem. W czasie wojny należał do konspiracyjnego harcerstwa, brał czynny udział w powstaniu warszawskim, a w 1945 roku, jako uczeń Gimnazjum im. Stefana Batorego, należał do legendarnej Pomarańczarni. Zbyszek Tyszko mógł dla młodszych druhów stanowić wzór harcerza.

Ma 15 lat i stopień Ćwika. To jest chyba 1-szy zastęp w życiu gdzie czułem się dobrze. Zastępowy bardzo równy chłopak do wszystkich odnosi po przy jacielsku. Jest już trzy lata w Harcerstwie. Umi bardzo ciekawie poprowadzić zbiórkę. Na jego zbiórce to jest wszystko. Ćwiczenia z Morse'm, chodzenie po znakach indyjskich, na koniec zbiórki ognisko. W takim zastępie są chłopcy dobrani. O takim zastępie mówi się „zgrany”. Na obozie też są zastępy. Ja byłem w trzecim zastępie „Żak”. Zastępowy Czerepiński Jerzy. Plan naszego obozu mam zamiar narysować na następnej kartce. No na razie kończę moje pióro się zmęczyło.

Oj, coś chyba Marek czuł, że długo już przy pisaniu pamiętnika nie wytrwa, bo choć następnego dnia również po niego sięga, to jednak wyraźnie się asekuruje:

PIĄTEK...

**DNIA
23
SIERPNIA
1946
ROKU**

Godzina 8,25 a mnie już zagnało do pisania. Literat ze mnie nie będzie ale zawsze to pisanie pamiętnika to potem, jak się czyta to się śmiać chce. Ja gdy czytam swoje pierwsze pamiętniki to sobie przypominam Częstochowę

124

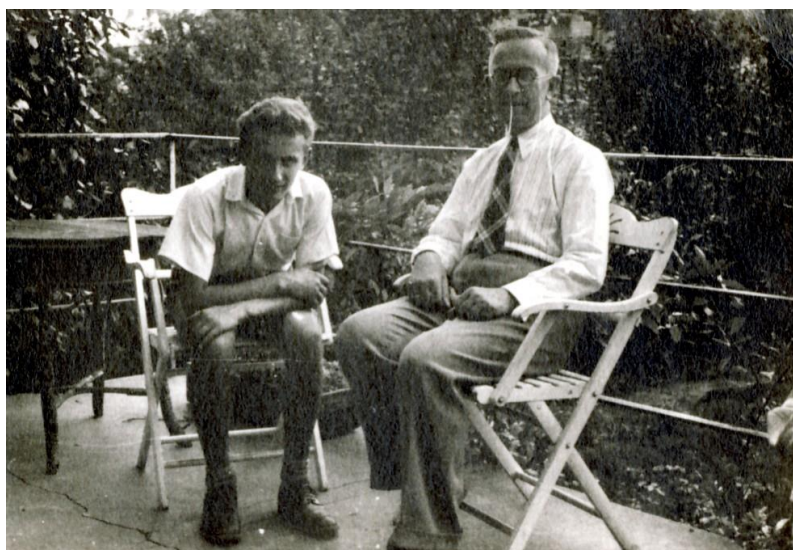
Pamiętnik został opracowany przez Andrzeja Czyżewskiego i wydany w 2002 przez wydawnictwo ELF w Warszawie

Fotki związane z rodziną

Sierpień 1945 spędziliśmy w Jeleniej Górze. Pierwsze cudowne wakacje po wojnie. Mieszkałem z Mamą w tym domu w pobliżu dworca kolejowego.



Anna i Wiktor Tyszkowie, moi rodzice, Jelenia Góra, 1945



Na tarasie Zbigniew z ojcem Wiktozem Tyszko, Wrocław, 1947



Partyzant? Nie, to Zbyszek Tyszko pozuje ze swym Mauserem, w hełmie angielskim i niemieckiej panterce koło swego domu, Wrocław 1946



Inż. Wiktor Tyszko, Naczelnik Wydziału Elektrotechnicznego, z tyłu wicedyrektor DOKP Wrocław inż. Ejmont